

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 8 maja 1909 r.

№ 19.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

8

Powieść historyczna.

Wążka rączka hrabianki podsunęła Grużewskiemu pieprzniczkę. Juliusz njął machinalnie za pieprzniczkę i bez mała całą jej zawartość na talerz swój wysypał.

Szkła podkomorzyny otwarły się. Grużewski nie zważał.

— Strach, strach sobie wyobrazić! Bo żeby choć teraz przynajmniej, żeby choć teraz! Ale gdzie! w tej odzieży zmiętoszonej na przybłądę wygląda. Dziw, że go w kredensie do jadała z pachołkami nie posadzili! I jeszcze obok tego tu oficera, wystrojonego, jak na paradę. A jak charkocze w gardle francuszczyzną. Wielka rzecz. Gdy w Kielmach „labuś“ na rezydencji siedział, to nawet „cywun“ gawżański po francusku rozmawiać się nauczył. Nie wielka sztuka! A przecież, gdyby mógł teraz ozwać się gładko, dałby wiele za to. Dałby, żeby i temu się pokazać, i tę przekonać. Wiadomo o czym! Bezcelny natręt! Musi mieć już, Bóg wie, ile lat, co najmniej ze czterdzieści — i przytem niemiec! Ani się zająknie, wprost do niej, do hrabianki się zwraca, zęby szczyrzy, a widać, że tęgo podstarzały. A on, Juliusz! Boże, Boże, oczu podnieść nie śmie, spojrzeć ku niej nie śmie — a widzi ją przecież, każde poruszenie

zgaduje! Ale bo też inną ją widział tam, w zagajniku, na rozhukanym koniu, inną mu się zdała w chatce nad Dźwiną, i teraz znów inną jest, jakby nie tą samą!.. Czyż możliwe, aby ta rączka drobna, biała, błękitnymi żyłkami tak wdzięcznie nakrzyżowana, mogła być tą samą, której uścisk zbawczy byłmu jedynym ratunkiem, jedynym punktem oparcia wśród pochłaniającej go wody? Czyż te misterne promienie włosów, tak przedziwnie ponad czołem rozczesane, mogły być temi rozigranemi tam, na wietrze? Mógłże ten głos melancholijny, spokojny, smętkiem harfy grający, być tym samym, który dowodził gromadą oszołomionych kmieci, nie umiejących dać sobie rady z gnioszem Juliusza?!

Stukot odsuwanych od stołu krzeseł przerwał Grużewskiemu tok myśli.

Podkomorzyna stała już wyprostowana, wsparta na lasce. Juliusz podźwignął się szybko.

— Proszę acana ze mną! — rozkazała podkomorzyna i zawróciła wgląd rozwartych podwoi.

Grużewski postąpił kilka kroków i znalazł się na ostatku, tuż za hrabianką i kapitanem. W trzeciej komnacie hrabianka przystanęła

nagle, Dallwig poszedł za jej przykładem. Juliuszowi nogi się splątały.

— Proszę acana, proszę! — ozwał się już z sąsiedniej komnaty głos podkomorzyny.

— Grużewskiemu niestosownie się zdało, aby miał przed hrabiankę się wysunąć, więc się zawahał. Lecz ta zaszeleściła powłóczystą suknią i, usunawszy się ku klawikordowi, drogę ku następnym drzwiom odsłoniła. Juliusz ruszył ociężale z miejsca, lecz, nim progu dosięgnął, oczy jego spotkały się ze spojrzeniem oczu hrabianki i opadły ku ziemi smutne, zawiedzione, upokorzone.

— Siadaj acan, tu, obok mnie, na taborecie.

Grużewski spełnił machinalnie rozkaz. Podkomorzyna poprawiła się w fotelu i, po krótkim zastanowieniu, zaczęła wypytywać go o rodzinę, o Kielmy, o przyczynę, dla której do Akademii wileńskiej nie wstąpił i o dziesiątki innych spraw. Grużewski odpowiadał krótko, odruchowo, nie siląc się na zdobienie słów lub szukanie gładkich wyjaśnień. Podkomorzyna atoli i temi się zadowalała i jakby nie postrzegala roztargnienia młodzieńca, jakby nie zauważała, iż

wzrok jego ściga dal sąsiedniej komnaty, która, poprzez otwarte na ścieżaj drzwi, ukazywała Dallwiga i Emilię, pochylonych zlekka ku sobie.

— A z których Sackenów wywodzi się matka waćpana?— badała dalej podkomorzyna.

Grużewski, snadź zmęczony inkwizycją, potarł czołoz zakłopotaniem.

— Z których?

— No tak, bo choć wszyscy z jednego pochodzą gniazda, lecz różnym służą bogom. Sackenowie, jak Manteufle, jak wiele innych rodów kurlandzkich i inflanckich, rozszczepili się sami w sobie, złamali. Tu i owdzie co zdrowsza, co poczciwsza gałązka trzyma się szczerze dawnego pnia, który ją przez wieki żywił, chronił a tulił, ale zresztą rody te manowcami idą, na knechtów schodzą, na najmitów, gotowych zawsze do ukąszenia ręki swego dobrodzieja, gdy ręka ta słabnie...

— Chociaż,—dodała po przestanku podkomorzyna, zwracając swe szkła w stronę Dallwiga,—wielu trzeba usprawiedliwić... bo nie oni bywają winni, że zgaszono w nich nie jedno, że niejedno stłumiono, niejedno utajono... nie oni...

Juliusz pochwycił ruch szkieł podkomorzyny. Złość go dojęła.

— Oni, czy nie oni, a od takich, jak od powietrza stronić! Poznaliśmy wówczas!

— Zapalczywie rzecz bierzesz...

Grużewski targnął się i wyrzucił jednym tchem:

— Tak, moja matka Sackenówna, a gdyby taki jeden do Kiełm, toby psami go wyszczuto!

— Mityguj się acan! — napomniała surowo podkomorzyna.— Bez zastanowienia nie powiadaj!

Juliusz głowę pochylił, lecz nie dlatego, żeby do skruchy się poczuwał, lecz że w głębi sąsiedniej komnaty postać Emilii zniknęła raptem.

Podkomorzyna wykladała tymczasem Grużewskiemu, jako nie godzi się nigdy zbłąkanych odtrącać, jako właśnie przygarniać ich należy, jednać a budzić i naprowadzać na rzetelną drogę.

Grużewski milczał. Co mu tam

było do argumentów podkomorzyny!

Ciche dźwięki klawikordu ozwały się w sąsiedniej komnacie, żalobnym akordem jęknęły i załkały tęsknym, rzewnym polonezem.

Podkomorzyna ustała nagle, głowę na rękę wsparła i pograżyła się w zadumie.

Polonez tymczasem brzmiał coraz pełniej, coraz silniej, coraz śmielej. Już zaniechał żalów i skarg, już się dobył i rozterce, i tęsknocie za tem, co było, co odeszło, już piął się do nowej mocy, do jutra, do przyszłości, już wiarą i nadzieją huczał w kaskadach butnych tonów, już pieśni zwycięstwa pierwszy takt uderzył... Gdy naraz złamał się, prysnął dziesiątkiem krzykliwych, nierównych dźwięków i zginął w gwałtownie opuszczonym pedale.

Podkomorzyna ocknęła się i spojrzała ze zdziwieniem ku otwartym drzwiom. Juliusz podniósł się z taboretu. Do komnaty weszła szybko hrabianka. Była błada, pomieszana.

Oczy podkomorzyny błysnęły trwożą.

— Co tobie? co się stało?

— Komisya do nas dziś w nocy na szukanie dezertarów!

— Komisya!

— Trzeba natychmiast folwarki objechać, ani minuty niema do stracenia!

Podkomorzyna zacisnęła kiście rąk.

— Boże, Boże, więc znów nowa udręka! Toć miesiąca niema, jak byli!

Dallwig wszedł zwolna. Podkomorzyna dodała po francusku z intencją:

— Uwierzyć trudno! Na te honory, któremi nas obdarzają dygnitarze dyneburscy! Przecież nic podobnego nie może się dziać bez wiedzy takiego Kablukowa lub Schirmana!

Kapitan potrząsnął głową.

— Niestety, pani hrabino, żaden z nich nie ma w tym kierunku najmniejszego wpływu. Ręczę, że gdyby w ich było mocy, wszystkie te komisye ustałyby dawno. Jest to sprawka kogoś z pachołków, a może następstwo denuncyacji...

— Ależ powinni więc zastanowić się, kogo denuncyacja dotyczy...

— Pozwól, cioteńko—wmieszała się po polsku Emilia—wszak bynajmniej nam nie idzie, aby nas brano za takie, jakimi nie jesteśmy...

— Lecz, kochanie...

— Boć tak, chyba kapitan nie wątpi o tem, że gdy rekrut ucieknie z wojska i do dom wróci, to nie do nas należy wydawać go assesorowi...

— *Sans doute, sans doute!*—bąknął Dallwig.

— A nawet jest przekonany, że dezertar znajdzie i pomoc, i osłonę!

— Moje kochanie, tak nie uchodzi, a nie, nie uchodzi, niepokoisz barona kwestją, którą on po żołniersku sądząc...

— Niezawodnie nas zrozumie!—dokończyła pośpiesznie Emilia.—I trzeba nawet, żeby nas zrozumiał!

Dallwig zapatrzył się w czerwona wypustkę swego rękawa.

— Każ wołać Prószyńskiego, niech zarządzi, co należy. Byle złe nie naszło, byle złe ominęło. Niech Prószyński zaraz przyjdzie...

— Prószyński tym razem nie poradzi sam! Ja muszę...

— Gdzie, dokąd?!

— Do Kirupia i Owsiejowa! Muszę natychmiast.

Podkomorzyna wystraszyła się.

— Emilko, zmiłuj się, toć noc późna, ziąb... gdzie tobie na takie wyprawy!

Hrabianka przytuliła się do ręki podkomorzyny.

— Nie broń mi, cioteńko! Nie można ich opuścić... pomyśl, co ich czeka! Proszę, jak o łaskę.

— Dziecko moje, lecz Prószyński tego zwyczajny!

— Prószyńskiemu ledwie starczy czasu, żeby Nidzgału dopilnować. Nadto oddalać się nie może, bo któż z komisją spierać się będzie?

Hrabianka zniżyła głos.

— Nic, cioteńko, pojedę i duchem wrócę. Sama powiadasz, że miłość ludu należy sobie skarbić! Nie odmawiaj...

— Nie, nie! samej cię nie puszczę, za nic, za nic!..

— Stary Mikołaj bryczką mnie zawiezie.

— Trzeba jeszcze kogoś... A może kapitan, byłabym spokojniejszą.

Dallwig, który z widocznym natężeniem chwycił wyrazy, zmieształ się, lecz podjął z ukłonem:

— *Mademoiselle, je serai très heureux...*

Hrabianka zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie podobna. Baron narażiby mógł całą swoją przyszłość, uchybić sztandarowi, pod którym dobrowolnie trwa. Zresztą mundur kapitana jeno popłochu by przyczynił...

— Lecz samotrzeć z Mikołajem nie dam ci jechać, nie dam!— upierała się podkomorzyna.

— A więc ja z panną hrabianką pojedę!—zadeklarował impetycznie Grużewski, wysuwając się z ubocza.

Hrabianka spojrzała przyjaźnie na Juliusza. Podkomorzyna skrzywiła się.

— Waćpan chcesz się gwałtem choroby dopytać. Dryakwi ci trza nadewszystko i wywczasu, a co najważniejsze, i statku!

Grużewskiego żalność i pasya sparły.

— Nic mi nie jest, jako żywo. Że koń mi się w wodzie... to nic. Choćby sto mil przyszło! Ale, kiedy pani wojewodzina... pani hrabina... w takim razie, wolę zaraz stąd...

— Sądzę, cioteniko...

— Jak chcesz... tylko nie wiadomo, kto kogo strzedz powinien.

Juliusz nie pochwycił przymówki. Wąsika musnął i odparł gorąco:

— Niech pani hrabina będzie spokojną; żeby najgorsze, pannie hrabiance włos z głowy nie spadnie!

Rozkaz krótki, przytłumiony wybiegł z pałacu i zakolał do

okienka Mikołaja, stangreta, i ozwał się tuż różnym parsaniem zbudzonych ze snu koni. Lekka bryczka węgierska zaturkotała w głębi podwórza folwarcznego i potoczyła się szparko ku podjazdowi pałacowemu. Tu, ledwie przystanąła, ledwie na osiach kołysać się przestała, gdy już hrabianka z Mikołajem kilka urywanych słów zamieniła i wskoczyła do bryczki. Juliusz wspiął się do wsiadania.

— Paniczowiby trza czego, bo zimno!—ostrzegł półgłosem marszałek.

— Ach, cóż znowu!

— Niech Szamotulski da choć derkę.

— Jest, proszę panny hrabianki, jest!

Emilia rzuciła jakiś niezrozumiały wyraz stangretowi. Ten lecce zebrał i bat rozpuścił. Konie ruszyły z kopyta.

DCN.

Władysław St. Reymont.

MARZYCIEL.

16

— Wiersz bardzo piękny, bardzo nastrojowy i bardzo zuchwały. Trzeba już raz skończyć z fałszywym wstydem i upośledzeniem kobiety! Czemże się gorszycie? Szczerym i głębokim wyrazem uczuć! Zmysły mają swoje święte prawa! To kult przyszłości! Trzeba je wywieść z mroków alkowy na jasny dzień! Wolna miłość... to religia!—deklamowała, poprawiając nieustannie binokle.

— „Kaśka za piec, Maciek za nią!”—zaśpiewał zawiadowca, lecz zgromiony oczami żony, zaczął się pokornie tłumaczyć:—Chciałem tylko pokazać pannie Irenie, jak chłopcy rozumieją wolność miłosną. Inaczej się to dawniej nazywało! Ależ milczę, Maryś, milczę!—Machnął ręką i zabrał się do majstrowania przy gramofonie.

A panna Irena rozbułgotała się już na dobre, wygadując niestworzone rzeczy na temat wolnej miłości, upośledzenia kobiet i przyszłego ustroju, sypała przytem, jak

maszyna, cytatami z wieców i broszur, tytułami książek i nazwiskami autorów. Józio usiłował przeczyć, ale, zmiażdżony jej ferworem, zdruzgotany szaloną elokwencją, opryskany śliną, cołał się pod ścianę i, przyparty wreszcie do muru i zrozpaczony, zawołał błagalnie:

— Ależ ja jestem za równouprawieniem kobiet! Godzę się z panią, panno Ireno, daję pani słowo honoru! Na wolną miłość! Ależ i owszem, na wszystko!..

Naraz ryknął gramofon, z metalowej gardzieli wybuchnął potok niewypowiedzianych wrzasków, ajakby do wtóru, zakrakał złowrogo kruk, zagruchały trwożnie synogalice, rozkrzyczały się ptaki, wiewiórki, jakby oszalałe, tłukły się po klatkach, psy zaczęły przeciągle wyc, dzieci trzaskały łyżeczkami w talerze i szklanki, a pani domu, wezbrana nagle przerażeniem, siedziała z otwartymi ustami, zaś pannie Irenie spadły binokle na podłogę i stała martwo, zamieniona w si-

ny słup złości, zgrozy i wzgardy.

— Uciekajmy, póki nie odzyskają przytomności!—krzyknął zawiadowca.

Zatrzymali się dopiero w kasie, wybuchając szalonym śmiechem.

— Ocaliłem pana! Widziałeś pan, jak posiniała ze złości?

— Ależ ten gramofon ryczy, no! Ona panu tego nie daruje...

— To i lepiej, może przestanie nas odwiedzać! Przewraca w głowie mojej żonie, że po każdym jej odwiedzinach mam w domu piekło.

— Mocno pomyłona głowa; ciekawy jednak okaz, bardzo ciekawy.

— Może ją pan mieć do wszechstronniejszego przestudowania...

— Musi być wykształcona; mówił mi kiedyś Loczek, że nawet posażna.

— A ma, jak to mówią, „dwa białe i trzecie, jak śnieg“. Przejdzie się za pana z pocałowaniem rączek. Daję głowę, że chociaż taka zajadła

feministka, będzie panu najczulej podawała pantofle.

— Dziękuję, wolę już ładny podróżny kufer sobie sprawić.

— Bo łatwiej się go pozbyć, niżli takiego pudła! Patrz pan, jak znowu kurzy! Psiakrew, będziemy mieli bal z pociągami.

— Ale za to wypoczniemy jak się patrzy, po człowieczemu!—wyrzekł Józio, zabierając się znowu do roboty. Nikt mu już teraz nie przeszkadzał, bowiem z powodu zamieci, szalejącej coraz potężniej, stacya zupełnie się wyludniła.

A z linii wciąż nadchodziły groźne wieści o zaspach i przerwach w ruchu, pociągi wlokły się z trudem, rzadko i z wielkimi opóźnieniami.

Wieczór szybko zapadał, wszystko ginęło w mętным, sinawym mroku, tylko huragan miotał się coraz wścieklej, zrywał dachy, łamał drzewa i szalał z dzikiem, przesywając wyciem i świstem. Mury się trzęsły i dygotały od nieustannych uderzeń wichury. Cały świat stał się podobny do wirującego kłęba kurzawy, z którego wypryskiwały strzępiaste bryzgi, bijące aż gdzieś ku sinemu niebu, wiszącemu nisko w posępnej grozie milczenia. Komunikacya z miastem była przerwana i stacya została prawie odcięta od świata, czerniała w zmierz-

chu, niby skała wśród rozszalałego morza białych, spienionych fal zamieci.

Wkrótce i telegraf przestał funkcjonować, burza wyrwała setki słupów i pozrywała druty, na torach stacyjnych tworzyły się już całe góry zasp, pociągi stanęły zupełnie, ostatni przyszedł ekspres, poprzedzany przez dwie rezerwowe maszyny, ale tak obwalony śniegiem, że widziało się ogromną zaspę, prześwietlającą gdzieś oświetlonymi oknami.

Józio spacerował wzdłuż pociągu, a chociaż wichur prał go śniegiem i prawie rzucał na mury, przeglądał wszystkie okna z jakąś utajoną przed samym sobą nadzieją.

— Pańska nieznajoma księżniczka siedzi w restauracyjnym wagonie! — krzyknął mu do ucha zawiadowca.

Józioem zatrzęsała radosna febra, podszedł pod okna i zajrzał do wnętrza. Tak, to była ona, ten przelotny cień, o którym marzył i za którym często gonił duszą roz tęsknioną, ta nieznana znajoma jedynie z ekspresów, jedynie z corocznych przejazdów gdzieś w świat i z powrotów.

Siedziała z jakąś dostojną starą damą i, dojrawszy go w świetle, padającym z okien wagonu, uśmiechnęła się bardzo przyjaźnie,

jak zawsze, że bezwiednie podniósł rękę do czapki, wtapiając w nią głodne zrenice.

Musiła mówić o nim swojej towarzyszcze, bo stara dama spojrziała w jego stronę z pobłażliwym uśmiechem, a on powtarzał sobie cichutko, radośnie:

— Poznała mnie księżniczka! Poznała!

Wicher bił w niego i zasypywał śnieżycą, ale Józio stał jakby zahypnotyzowany i patrzył w nią rozgorzałymi oczami.

— Czekałem na ciebie! Czekałem! Czekałem! — Wzdychał, pierś mu się podnosiła coraz szybciej, w oczach płonęły gwiazdy, tęsknota rozwijała szalone skrzydła nadziei, marzenie unosiło go na kwietnym rydwanie w niebiosa.

Znowu zakwitł mu jej uśmiech niebiański, szyba z brzękiem opadła i księżniczka chciała przemówić do niego, ale wichur uderzył ją w twarz śnieżycą, aż cofnęła się z krzykiem przestachu, służba zamknęła okno i nawet pospuszczała grube, wełniane zasłony.

Józia ogarnęła nieprzenikniona noc, zatoczył się jakby na samo dno zawieruchy, lecz w tej chwili niby błyskawica rozdarła mu oślepie oczy, porwał się, z miejsca, księżniczka bowiem szła korytarzem wagonu...
DCN.

de Larmandie.

PRÓBA WSKRZESZENIA.

5

VI.

I ruchem groźnym wskazał Yesod ku ziemi, niewoląc Netzah, która była nieruchoma i drżąca, ze swą postacią powiększoną, z siłami, stokrotnie wzmożonemi.

Patrzała uporczywie na swego dawnego władcę oczyma strasznemi, wielkiemi oczyma zapadłemi i dopiero w połowie szklącemi się, skąd powstawało zawzięte i okrutne, wielkie płomień życia.

— Na kolana! — powtórzył hermetysta głosem przejmującym.

Netzah wybuchnęła śmiechem okrutnym.

— Na kolana, na kolana, panie doktorze! Panu ciągle jeszcze roją się czasy, kiedy była podda-

na twym czarom, kiedy ci była niewolniczo uległą, kiedy była, jak to sam czelnie oznajmiasz, twą rzeczą, twą rzeczą żywą, którą traktowałeś, jak szczątek anatomiczny; od tego atoli czasu, widzi mi się, nastąpił wypadek, z zarządzenia — to wnoszę — pańskiej woli i pańskich praktyk dyabelskich, i wiedz pan to dobrze, iż raz rozwiązawszy zjawisko, nie masz już nad niem zgoła panowania.

Yesod nie stracił głowy: głęboki polityk, zarówno jak i energiczny mąż czynu, zdecydował się od razu na zupełną zmianę postawy, tem bardziej, że wobec siły tej kobiety-Herkulesa, świeżo zaświadczonej, można się było obawiać naj-

gorszych skutków — bez widoków jakiegobądź pomocy.

Wzruszył tedy ramionami, uśmiechnął się i przeciągnął rękę ex-trupowi.

— Co znowu! nie przywołałem cię z tak daleka, żeby swarzyć się z tobą i być ci niemiłym. Uznaję twe wyrzuty, — czyś zadowolona? Nie możesz atoli wątpić co do najlepszych moich zamiarów i oto — by ci dać tylko drobny szczegół — sądziłem, że, wracając stamtąd, będziesz miała pragnienie... Czy widzisz te trzy czasy z tym flakodem... wina Nocy, które zastawiłem na stole? Ja i Chesed piliśmy je już, zostało atoli jeszcze tego nektaru. Przewidzieliśmy, two ucze-

nictwo, byłaś oczekiwana, byłaś zaproszona. Czy napijesz się?

Netzah głucho odrzekła:

— To się wie. Umieram z pragnienia.

— Nie dziwię się całkiem. Zatem—żyj, moje dziecię, i—pij!

Wskrzyszona opróżniła czaszę za czaszą trzy szklenice słynnego burgunda.

A potem mruknęła ponuro, głosem bardzo cichym:

— Dziękuję panu.

— No, jakże?—zapytał czarnoksiężnik. — Zdrowieczko teraz—nieco lepiej?

— Tak jest, panie; nadto być może lepiej—jak dla was.

— No, to siadajmy teraz. Podróż cię nieco zmęczyła, to oczywiście. Pomówimy spokojnie, po przyjacielsku, jak starzy znajomi. Gdy jesteście nimi przeciw. A ty, mój Chesedzie, nie zapomnij o karteluszu, trzymaj dłoń na baczności.

— Czego pan sobie życzy?

— Usłyszeć twoje przygody.

— O, mój panie! to trudniej, niż panu się zdaje. Umrzej pan sam— a zobaczysz! I poleć pan Chesedowi, by dokonał operacji nad twojem próchnem, takiej, jaką pan wykonałeś nade mną. Spróbuj pan. Przysięgam panu rzeczy zdumiewające. O, mój panie mały uczony! będziesz się pan rumienił, żeś jest tak nędzny, taki karzeł, taki proch wobec rzeczy, które tam spotkasz. Pańska duma szalona, pańska próżność nieznośna, upewniam pana, niewiele zaważy w obliczu tamtego świata!

— Netzah — podjął Yesod, — mówisz z obfitością niezwykłą i żywością nadzwyczajną, a to cię wyczerpuje. Twój stan sławetnej rekonwalescencji wymaga oszczędzania sił.

Chesed, nieco ośmielony, zapragnął wtrącić się do rozmowy; wyrzekł tedy te słowa proste:

— Tak jest, proszę pani.

— Czego chce ten nędzny słuzalec?—zawołała wskrzyszona gniewnie.

— Pani dobra, tylko pani dobra.

— Pocznę od skarcenia ciebie, młody czeladniku szarlatana,—groziło dziewczęce.

Chesed zbliżył się ze słowem usprawiedliwienia na ustach.

Odwrotną stroną dłoni wskrzyszona musnęła go po twarzy i rzuciła go tem na ziemię.

Chesed podniósł się żywo, z bokiem nadwierzonym, z policzkiem obolałym.

W oczach czarnoksiężnika zabłyskał ogień gniewu.

Powstrzymał się atoli i, zamiast

skarcenia Netzah, rzekł, zmuszając się do uśmiechu:

— Czy się nie bardzo stłukł, mój Chesedzie? Na przyszłość masz nauczkę, żebyś się nie wtrącał do rozmowy. Pilnuj swego kartelusza, zapisuj wydarzenia, lecz pozostaw mnie kierowanie rozmową. No, ale dość swarów... Możebyśmy pomówili nieco o tych rzeczach ciekawych! Cóż, Netzah? Zgoda? Ale może masz jeszcze pragnienie? proszę cię, nie wstydź się.

— Chce mi się pić ogromnie.

— Do dyaska tedy! pij!

Z temi słowy hermetysta nalał jej znów czaszę wina Nocy.

— Czy nie oświeciłabyś nas nieco, Netzah, co do losu, jaki nam gotujesz?

— Bardzo chętnie; przepowiem wam przyszłość, która spełni się, zanim jutrznia nastąpi. Dam wam nadto nieco szczegółów, dotyczących mego snu, a to—aby wam okazać całą ohydę waszego czynu. Potem uczynię sąd i wykonam wyrok nad wami... i kilka nędznych okruchów wielkiej tajemnicy śmierci, którąście zbezczeszcili, zostaną unicestwione i pogrzebane z trojgiem nas w potrójnej mogile. Ukręćę łeb pupilowi pańskiego cechu, który już odczuł chyba nieco dotknięcie mojej ręki, ukręćę mu łeb poprostu, jak kucharka ukręca łeb kurczakowi... o, patrz pan, na wzór tego.

I mara powrotna chwyciła trzon żelazny cylindra dwupalcowej grubości i ruchem raptownym skrzyła go i złamała.

— Co do ciebie, mój panie uczony, panie wielki człowieku, wstrętny olbrzymie pychy, pan winieś umrzeć z towarzyszeniem poniewierki najwyższej.

— No, to zobaczymy jeszcze...

— O, to będzie niedługo... Za chwilę chwycę was obu pod pachę, jak chłopczyków, którym wymierza się kara. Tą ręką prawą, której sprawność już poznaliście, oćwiczę was do krwi, aż będziecie prosili zmiłowania. Wtedy postawię was na nogi i jednym zamachem dłoni przejadę się po waszych twarzach: tobie odłupię szczękę, a tobie strącę głowę. Pan, słynny myślicielu, praktyku znamienity na dwu półkulach świata, którego wynoszą gazety i sławia akademie, którego zapiski czytane we wszystkich uczelniach świata, król hipnotyzmu i czarnej magii, pan, pogwałciciel i pogromca śmierci, zginięsz pod urągowskim kobiety!

— Bardzo pięknie. A potem?..

— A potem znajdę coś przecie w tej pracowni piekielnej, jakie

narzędzie lub jaką truciznę, która da mi możliwość podążenia za wami.

Wskrzyszona siadła gwałtownie, ugasiła palące swe pragnienie nową lampką wina Nocy i tak mówić poczęła głosem wolnym, stłumionym, mając oczy utkwione w alchemika; ów nie drgnął i nie mruknął powieką, wytrzymując, jak lawinę straszną, to spojrzenie okrutne, pełne groźby i wstrętu.

— Zebrałam wreszcie me myśli i teraz pamiętam już wszystko. Zasnąłam tedy wczoraj wieczorem w szpitalu, na mym tapczanie szpitalnym, straciwszy prawie całkiem pamięć rzeczy i nawet uczucie mego bólu fizycznego. Ksiądz udzielił mi absolicy i pobłogosławił mnie—i uczułam—by dobrze wyrazić mój stan—iż zwolna zanurzam się i zapadam w wielką noc.

— Słusznie—rzekł Yesod,—to jasne i możebne.

— Czas, którego nie mogę określić, musiał upłynąć w zupełnej niewiadomości, w zupełnym zdrętwieniu, w rodzaju znicestwienia. Potem zdało mi się, iż odzyskuję kilka luźnych błysków mej istności, i jednocześnie chłód wielki mnie ogarnął. Miałam uczucie, jak gdyby całe me życie spływało powoli ku memu sercu, podczas kiedy myśl moja znajdowała ucieczkę w jednym zakątku mego mózgu, który zdał mi się... bardzo... bardzo dalekim. Potem ta reszka myśli oddzieliła się od reszty życia i przebyła granice ciała, zachowując z niem jeszcze łączność bardzo czułą... To musiała być pierwsza faza śmierci.

— Za pomocą czego była ta łączność czuła?—zapytał Yesod, cały zatopiony, podczas gdy Chesed gorączkowo notował.

Netzah odrzekła:

— Za pomocą... nie wiem, jak to wyrazić... za pomocą włókna szczególnego gatunku, rodzaju elektryczności bez drutu, promieniującej, jak korona czuła myśli ku życiu.

— Bardzo ciekawe—zauważył Yesod.

— Wtedy... nie mogę powiedzieć, jakim sposobem... ale ujrzałam własne me ciało blade i nieruchome; chociaż porzuciłam je już, uczułam chłód lodowy i zapragnęłam przerwać to powrósto iludyczne, przez które, jakkolwiek całkiem już uzewnętrzniłam, otrzymywałam jeszcze całą gamę straszną bezgranicznych odczuć: zapachu, smaku, wzroku, dotyku i nawet słuchu... słyszałam jakby organ daleki, towarzyszący mszy za umarłych.

— Z każdą chwilą ciekawsze—przytwardził Yesod.

Westchnawszy głęboko, Netzah ciągnęła dalej:

— Nie mogę wykreślić trwania tego nowego okresu, tego, cobyście nazwali ewolucją mojej duszy.

Naraz zobaczyłam bardzo wyraźnie, że ma cząstka inteligentna, jaźń moja istna—zaciągnięta do jakiejś pieczary ciemnej i głębokiej, i wlecze tam za sobą moje ciało, niby łańcuch ohydny, skutły bez liłości; doświadczałam bólu, jaki czuć musi ciało żywe, włócone po ziemi wyboistej, pełnej ostrych kamieni. Droga ta w podziemiach wstrętnych trwała bez końca... bez końca. Naraz, kiedyś tak rozpaczła, drobne wstrząśnienie, niby iskra drobna z waszych maszyn, lecz cieńsza, lecz delikatniejsza... nie umiem tego wyrazić... drobne wstrząśnienie zerwało to powróśło, które łączyło mnie z moim trupem... i wtedy... i wtedy... Ach! oczy moje prawdziwe otworzyły się... i ujrzałam... naprzód... przed sobą ziejące... dwie otchłanie, czarne i czerwone... otchłanie, które się poruszały... rodzaj wirów olbrzymich dymu szkarłatnego, kołujących i porywających z gwałtownością huraganu... nie wiem dokąd... kształty ludzkie, wyblądle, biadające...

— Doskonale — rzekł czarnoksiężnik,—dalej?

— Poza temi otchłaniami ujrzałam... ach!

— Cóż takiego, Netzah?

— Niewysłowne!.. Nie mówię więcej.

— Przeciwnie! Nie zechcesz chyba urywać tej opowieści, niezapreczenie oryginalnej, w miejscu, najbardziej tętniącym...

To rzekłszy, Yesod postąpił, z zamiarem spróbowania pasów magnetycznych, pewny władzy swych dawnych sugestyi.

Netzah zaśmiała się konwulsyjnie.

— Co za kpiny, mój panie doktorze! Skończ pan raz już z tym swoim hipnotyzmem... jesteś pan, jak dorożkarz, który chce kierować balonem elektrycznym! To, doprawdy, komiczne! Skończyłam na momencie, na którym chciałam skończyć. Basta!

— To bardzo przykre—oświadczył Yesod.

— Jeżeli chcesz pan—ciągnęła Netzah, — możemy teraz odbyć razem drogę powrotną—od tajemnicy, którąm przejrzała, aż do tego nędznego życia, do którego mnie przywołało wasze świętokradztwo.

— A no! — rzekł czarnoksiężnik—Lepszy rydz...

— Miałam już tedy przebyć tylko jeden z wirów, by dojść do światła boskiego, które wywierato

na mnie taki wpływ niewolący, że przejście przez owe płomienie prawie przestawało być straszne. Naraz wrażenie bardzo wyraźne przeszło mnie całą—uczucie rąk zdradzieckich a niewidzialnych, które mnie wtył odciągały... rąk waszych niewątpliwie, panowie...

— Potem, moje piękne dziecię? — rzekł Yesod.

— Potem...—ciągnęła dalej mara, — możecie sobie wyobrazić tę, coby odbywała pierwszą komunię, w szatę białą przybrana, a którąby ręce zbójców pochwytyły, by ją zanurzyć w kale, uczynić z niej łachman zblocony, stek niecny, srom i pohańbienie okrutne...

Trup mój był widownią walki zażartej całej armii straszdeł, których groza przechodzi wszelkie pojęcie, a które, jak żarłoki prawdziwe, gryzły się o szczątki mego ciała bezwładnego, o skrzepy czarne mojej krwi zmrożonej... Ach!

— Potem...—rzekł czarnoksiężnik bardzo spokojnie.

— Potem... potem... siła niepokonana skuła mnie z tem cielskiem—i przebiegałam z powrotem tę ciemnicę piekielną; gdym przybyła do wyjścia z tych pieczar, musiałam wciąż ściślej, wciąż ciaśniej obejmować tę zgniliznę, przynikać ją, stawać się z nią jednym, odczuwając przytem w niestychany sposób hurkotanie tych zwierząt nieczystych... potem, potem... już byłam jednym z tą masą ciała, które stawało się mem *Ja* w złączeniu ściśłem, przewstrętnem, oburzającym... i wtedy usłyszałam was obu... Myślałam, że to był sen... To była rzeczywistość. Wampiry powoli przestały mnie jeść i wypijać, odczułam wrażenia ziemskie, straszne zapachy, spaleniznę. Na waszym zegarze śmiertelnym wydzwoniła północ, oczy me się rozwarły. Byliście zwycięzcami, zostałam wskrzeszoną.

— A co! — podjął raźnie Yesod, — widzę, że jesteś grzeczniejszą. Gdy już trza koniecznie wędrować na tamtem świat... trudno! Lecz idźmy śladem starych filozofów, którzy z otwartymi żyłami nie przestawali biesiadować z swymi uczniami, aż póki chłód śmierci nie zmroził ich warg i paraliż nie tknął ich języka. Mam upodobanie do takich biesiad, nawet gdy koniec ich ma być pochłonięty przez otchłan zapomnienia... Chesed będzie w dalszym ciągu notował. Jako rozbitkowie tego słynnego statku wojennego, którzy, widząc śmierć nieuniknioną, poprzywdziewali swe mundury odświętne, należy, by w obliczu nowej zorzy trupy nasze miały pod ręką zeszytniałą wszystkie narządy naszych badań, wszyst-

kie naczynia naszego dociekania, broń naszą bojową, broń chwalebna, która nie zadaje śmierci, która w noc tę pamiętną wywalczyła tajemnicę życia...

I nadto, wypijmy jeszcze po czaszy tego słynnego nektaru... Flaszka już pusta... Mam jednak jeszcze inną...

Cóż ty na to, panienko?

Netzah bez słowa skinęła głową na znak zgody.

Czarnoksiężnik skierował się ku narożnikowi komnaty, wciąż pod baczną uwagą przeprowadzającej go wzrokiem Netzah. Zniknął za kotarą i po upływie pół minuty znów się ukazał, trzymając w prawej ręce butelkę odkorkowaną. Uprowadzając wszystkie słowa swej strasznej przeciwniczki, zawołał:

— Ach! Netzah! Netzah! Piękne i niewdzięczne dziecię, równie piękne, jak niewdzięczne! patrz oto, jak ci płacę za twą czarną niewdzięczność! Wyciągnąłem z ciemnicy mej spiżarni butlę Nocy z trzydziestych siódmych lat. Warta co najmniej 40 franków. Oto, co najznakomitszego mogę ofiarować memu katowi pięknemu.

Dziewczę odrzekło:

— Postąpiłeś pan jak najstuszej, wyciągając najlepsze swe wino, gdyż, zaprawdę, nie znajdziesz nigdy odpowiedniejszej po temu pory. Jak panu wiadomo, za chwilę...

— To prawda! — odrzekł Yesod niedbale. — Jesteś istotnie kobietą, pełną rozumu i zdrowego sądu, lecz ja o tem nie pomyślałem. Czyniłem wprost ze szczerego serca. Na bok tedy złe myśli na chwilę! Niech to będzie nasza *uczta wolności*, jako ów festyn, który sprawiano skazańcom w wigilię ich ścięcia.

Yesod nalał trzy czasze i zawołał głosem donośnym:

— A więc trąmy się razem! i precz gorzkie wyrzuty, zanim z kolei udamy się w podróż daleką.

Troje uczestników tej sceny wzniosło swe czasze.

Netzah rzekła pierwsza:

— Za zdrowie śmierci!

Yesod podjął energicznie:

— Nie! Za zdrowie życia! Pełnimy ostatni obrząd. Bądźmy rytualni. Netzah, jako kapłanka tych smutnych ołtarzów, pije pierwsza, ja drugi, Chesed ostatni...

Trzy czasze trąciły się o siebie, a dźwięk ich spłynął z dźwiękiem zegara, który wydzwonił trzy razy—uroczyste i straszne.

DCN.



Gdy Domini zatrzymała się i wypowiedziała zdanie, nie mogła sobie uprzytomnić, do czego ulica ta była przeznaczona, poco dziewczęta te siedzą w ciszy czuwające, każda pojedynczo na swych schodkach, oczekujące wśród nocy. Lecz kiedy spojrzała i zobaczyła jaskrawe przybrania, poczęła pojmować. A gdyby jeszcze miała wątpliwości, zdarzenie, jakie teraz nastąpiło, musiałyby ją objaśnić.

Wielki arab barczysty, jeden z prawdziwych mężów pustyni, prawie czarny, z wystającymi kośćmi policzkowymi, z wklęsłymi policzkami, z oczyma dzikiego jastrzębia, patrzącymi, jak w gorące, z długimi i chudymi członkami, jak stał twardemi, odziany w grube, brązowe, na wzór wora szaty, w turbanie na głowie, obwiązanymsnu ramami z sierci wielbłądziej, posuwał się cicho ulicą, prześliznął się tuż przed Domini i poszedł do dziewczęcia, trzymając coś w swej dłoni kościstej. Rozmowa była tam krótka. Dziewczę przeciągnęło rękę na schodek, wzięło świecę, przybliżyło ją ku dłoni przybysza i, pochylone nad nią, liczyło pieniądze, jakie ów miał w garści. Policzyło je dwukrotnie, rozważając. Potem skinęła głową. Wstała, obróciła się, trzymając świecę nad kwadratem przybraniem głowy, i poszła zwolna na górę, prowadząc za sobą araba, który ujął grube swe szaty i uniósł je, pokazując nagie łydki. Oboje zniknęli bez szelustu w ciemnościach, pozostawiając opuszczone schodki, ich białe stopnie i białą ścianę, na którą księżyc rzucał mdłe blaski.

Dziewczę ani razu nie spojrzało na męczczyznę, lecz tylko na pieniądze w jego dłoni kościstej.

Domini zrobiło się gorąco i jakby niedobrze. Dziwiła się sobie, że stoi tu i patrzy się. Jednocześnie jak gdyby nie mogła się obrócić. A gdy cofnęła się na środek ulicy i szła, mając męczczyznę przy sobie, ważyła, co on o niej pomyśli. Nie mogła teraz mówić do niego. Była zanadto świadomą tych schodków oświetlonych, jedne rzędem za drugimi, tych postaci cichych, tych oczu bacznych, w których błyskały żółte płomyki świecy. Towarzysz jej także nic nie mówił, lecz idąc błyskał lekliwie oczyma z jednej strony na drugą, a potem patrzył uporczywie na białą drogę. Gdy skręcili na prawo i przechodzili koło ogrodów i gdy Domini

ujrzała wielkie pióropusze palm, czarne w księżycu, uczuła się swobodniejszą i mogła znowu przemówić.

— Chciałabym, żeby pan wiedział, iż jestem całkiem obcą tym afrykańskim sprawom i ludziom— rzekła. — Dlatego w miejscowości, jak ta, mogę popadać w błędy. Ale oto i hotel—i moja panna służąca na werendzie. Jeszcze raz dziękuję panu za opiekę.

Byli już tylko parę kroków od drzwi hotelowych. Cudzoziemiec zatrzymał się, i Domini zatrzymała się także.

— Pani!—rzekł poważnie, z rodzajem wzruszenia, z trudem hamowanego.—Jestem... jestem rad. Ja... ja wstydzę się, wstydzę.

— Czego?
— Mego zachowania się—mojej nieokrzesaności. Lecz proszę mi wybaczyć. Ja nie przywykłem do towarzystwa pań—takich, jak pani. Cokolwiek zrobiłem, nie zrobiłem tego przez niegrzeczność. To tylko mogę powiedzieć. Nie zrobiłem tego przez niegrzeczność.

Zdawał się być prawie drżącym ze wzruszenia.

— Wiem, wiem o tem—rzekła Domini.—Zresztą—to drobiazg.

— Ach, nie, nie! To było wstrętne. Rozumiem to. Nie jestem tak gruboskóry, żebym nie miał tego rozumieć.

Domini wraz uczuła, iż podzielić jego zdanie w tej sprawie, jakkolwiek bądź miało być ono przesadzone, było drogą najbardziej uprzejmą, zarazem najbardziej delikatną.

— Byłeś pan niegrzeczny względem mnie—rzekła,—lecz od tej chwili przebaczam panu.

Przeciągnęła ku niemu dłoń. Ujął ją, i znowu uczuła, jak gdyby piec jakiś wlał w nią ogień gorący.

— Dobranoc.

— Dobranoc pani. Dziękuję.

Postąpiła ku drzwiom hotelowym, lecz zatrzymała się.

— Nazywam się Domini Enfielden—rzekła po angielsku.

Cudzoziemiec stał na ulicy, patrząc na nią. Czekwała. Czekwała, by rzekł jej swe nazwisko. On milczał. Wreszcie rzekł wahając, po angielsku, z lekkim odcieniem cudzoziemskim:

— Moje nazwisko... Borys... Borys Androwski.

— Batusz mówił, że pan jest Anglikiem—rzekła.

— Matka moja była Angielką,

lecz mój ojciec był Słowianinem z Polski. Stąd moje nazwisko.

W głosie jego była chwiejność, jakgdyby stwierdzał rzecz, nie całkiem do wiary.

— Dobranoc—rzekła Domini.

I poszła zwolna, pozostawiając go w świetle księżycy na ulicy.

Nie pozostawał tu długo, ani nie poszedł w ślady jej do hotelu. Gdy zniknęła, przez małą chwilę stał, patrząc na opuszczoną werendę, na którą padały promienie księżycowe. Potem obrócił się i patrzył ku mieścinnie, zaważał się i wreszcie poszedł wolno z powrotem ku małej i ocienionej uliczce, w której na wązkich schodkach umalowane dziewczęta siedziały, czuwając wśród nocy.

IX.

Następnego ranka Batusz przybył z przepięknym siwym koniem arabskim dla Domini do spróbowania. Nocy uprzedniej nabroił był wielce, lecz Domini przebaczyła mu dosyć łatwo jego zbytne zajęcie się Zuzanną, która widocznie zrobiła wielkie wrażenie na jego pojemnej naturze. Hadi został tylko lekko zraniony przez Ireń, lecz nie zjawił się w hotelu dla dość zrozumiałej przyczyny. Oboje, tancerka i on, siedzieli tymczasowo w koczku, oczekując, aż stróżowie sprawiedliwości w Beni-Mora orzekną swe zdanie, kto ma być odpowiedzialnym za zamęt nocy ubiegłej. To, że istotnym winowajcą był uśmiechnięty poeta, nie przyszło im na myśl — i nie mąciło jemu zgoła pokój. Kiedy Domini pytała go o Hadięgo, okazał majestatyczną obojętność, a gdy wyrzucała mu jego chytry udział w sporządzeniu tej rozprawy, odrzekł spokojnie:

— Hadi-ben Ibrahim będzie od tej pory wiedział, czy Mehari ze spuchniętym językiem umie kąsać.

Zatem, wskoczywszy na konia, którego trzymał za uzdę, kazał mu wspiąć się, zatoczyć koło, okazać żywość i chód przed Domini, siedząc na nim wspaniale i rzucając częste powłóczyste spojrzenia ku Zuzannie, która patrzyła, pochylona na poręczu werendy, z wyrazem zachwyty na twarzy.

Domini podziwiała konia, chciała atoli dosiąść go, zanim wydał sąd ostateczny. Przyniosła swe własne siodło i kazała Batuszowi osiodłać niem zwierzę. Tymcza-

sem poszła na górę zmienić suknię. Kiedy powróciła na werendę, był na niej Androwski. Stał w słońcu z obnażoną głową i patrzył stąd na Batusza i na konia. Zwrócił się prędko, pozdrowił Domini głębokim ukłonem, potem patrzył na jej kostium, odbijając w oczach zachwyt i nagłe olśnienie.

— Chcę spróbować konia — rzekła doń z uprzejmością swobodną. — Chcę wiedzieć, czy mogę go kupić. Czy znasz się pan na koniach?

— Nie boję się, pani.

Przemówiła po angielsku i on odrzekł jej w tymże języku. Stała na górnym stopniu, trzymając lekko w prawej ręce szpicrutę. Wspinała jej kształty otaczała gładko i doskonale dopasowana suknią, i dojrzała, jak on patrzył na nią z dziwnym wyrazem w oczach, z uwielbieniem, które było prawie dzikiem, a które było zarazem pełnem czci i nawet czystości. Był to wzrok jak gdyby rozmiłowanego chłopca ze szkoły, kłoniącego się przed młodą dzielnością, którego instynkty przyrodzone były na straż, lecz którego temperament nie był jeszcze spaczony przez grzech; wzrok, który był hołdem palącym, który wieścił całe dzieje płci i pewnie gorącej, dociekającej niewiadomości — dziwny wzrok w człowieku, który już nie był młodzieńcem. Pod wzrokiem tym coś w niej drgnęło, zadrgała. Wstrząsnęła się i była prawie zła na to, lecz nie na oczy, które to spowodowały.

— *Au revoir* — rzekła, zabierając się do zejścia.

— Czy mogę... czy mogę zobaczyć, jak pani będzie wchodziła? — rzekł Androwski.

— Wchodziła! — rzekła.

— Na konia.

Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu na ten sposób wyrażania się o akcie wsiadania na konia. Nie był sportsmanem — oczywiście, pomimo swej muskularnej budowy.

— Naturalnie, jeżeli pan sobie życzy. Chodźmy.

Całkiem nie myśląc o tem, mówiła raczej, jak się mówi do małego chłopca ze szkoły, nie z wyższością, lecz z rodzajem lekceważenia, jakie się stosuje czasami uprzejmie do młodzieży. On zdawał się nie rozumieć tego i poszedł za nią pod arkadę.

Siwek był już osiodłany, i poeta trzymał go za uzdę. Kilku chłopców arabskich zebrało się pod arkadą, by patrzeć na wyjeżdżających. Arab, właściciel hotelu, stał leniwie we drzwiach hotelowych, a kutas jego fezu zwieszał się

na białym jego policzku. Koń szarpał się i niecierpliwił, unosząc niezgrabnie z ziemi swe delikatne nogi, długim swym ogonem zamiatając wązką przestrzeń i patrząc ubocznie swemi ciemnymi, iskrzącymi się oczyma, które pełne były żywej inteligencji nerwowej, aż prawie gorączkowej. Domini poszła do niego i pogłaskała go dłonią. Wspiął się dęba i zarżał. Całe jego ciało zdało się drzeć żądzą wylotu szalonego — hen w dal, na miejsca samotne.

Androwski stał blisko gospodarza hotelu, patrząc na Domini i na konia z zachwytem i wielkiem olśnieniem w oczach.

Zwierzę, zniecierpliwione bezczynnością, poczęło się rzucać gwałtownie i wyrwać z rąk.

— Daj mi uzdę — rzekła Domini do poety. — Tak! A teraz podstaw mi rękę pod nogę.

Batusz spełnił rozkaz. Noga jej tknęła jego ręki — i już była na siodle.

Androwski poskoczył na drogę. Czy jego płonęły niepokojem. Spostrzegła to i zaśmiała się rażno.

— O! on nie jest narowisty — rzekła. — A tylko narów może być niebezpieczny. W pysku doskonały, lecz jest nerwowy i potrzebuje kierowania. Przejadę na nim do ogrodu i z powrotem.

Ściągała go za uzdę. Teraz puściła go wolno i pogalopowała prosto drogą pomiędzy palmami ku stacyi. Ksiądz wyszedł był właśnie do swego ogródka z Bu-Bu i wychylił się nad żywopłotem, obserwując galopującą. Bu-Bu zaszczał przezrystym sopranem. Chłopcy arabski podskakiwali w obrotach gołemi nogami, a jeden z nich, który był czyścibutem, wymachiwał szczotką ponad swą ogoloną głową. Arab-hotelowy uśmiechał się, jak gdyby z zadowolenia, iż ma przed sobą zupełną umiejętność rzeczy. Lecz Androwski stał wciąż bez ruchu, patrząc na kurzem zaslaną drogę i na zmniejszające się kształty konia i jeźdźca, a gdy już zniknęli, pozostawiając za sobą jasną chmurę piasku, wirującą w słońcu, westchnął ciężko i pochylił głowę na piersi, jak człowiek zmęczony.

— Mogę także i dla pana dostarczyć konia. Czy życzy pan sobie mieć konia?

Był to pełny, uwodzicielski głos poety. Androwski poruszył się.

— Nie jeżdżę konno — rzekł krótko.

— Ja pana nauczę. Jestem najlepszym nauczycielem w Beni-

Mora. W ciągu trzech lekcji będzie pan...

— Nie jeżdżę konno, mówię ci.

Androwski wyglądał gniewnie. Wyszedł na drogę. Bu-Bu, który teraz obserwował przyrodę u wrót księzowskiego ogrodu, wychynał z pewną zwinnością i pocwałował ku niemu, oczywiście, z zamiarem zawarcia znajomości. Podbiegłszy, zadarł głowę i krótko zaszczał, merdając jednocześnie ogonem w sposób przychylny, chociaż nie wylewny i jakby pytający. Androwski spojrzął ku niemu, szybko się pochylił i pogłaskał go, jak człowiek, który prawdziwie lubi zwierzęta i obznajmiony z tem, jak je trzeba głaskać. Bu-Bu roztoczył szczerze swą wdzięczność. Począł się kręcić, oznajmiając uczucia. Ksiądz uśmiechnął się ze swego ogródka. Androwski nie widział go i dalej bawił się z psem, który teraz czynił przygotowania do położenia się na swoim kudłatym grzbiecie śród drogi w nadziei, iż zostanie podrapany, — akt, który lubił niezmiernie. Wciąż uśmiechnięty i z przyjaznym wyrazem twarzy ksiądz wyszedł ze swego ogródka i zbliżył się do igrających.

— Dzień dobry panu — ozwał się grzecznie, unosząc kapelusza. — Widzę, że pan lubi psy.

Androwski podniósł się, pozostawiając Bu-Bu w proszącej pozycji, z łapami nabożnie wyciągniętymi ku niebu. Kiedy zobaczył, że to ksiądz zwraca się do niego, lico jego zmieniło się, zastygło w grymasie, a usta zlekka zadrgały.

— To jest mój piesek — ciągnął ksiądz głosem uprzejmym. — Poczul widocznie wielką skłonność do pana.

D.C.N.

TRĘŚĆ NUMERU 19-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*
Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*
Próba wskrzeszenia. *de Larmandie.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: **4** rb. rocznie, **2** rb. półrocznie; **1** rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:

Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zybkliwiczka, № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie